Tyszkiewiczowie. Kretynga 2.



Helena Klotylda z Tyszkiewiczów Ostrowska, autorka pamiętników o życiu rodziny Tyszkiewiczów w XIX w. (z lewej) z matką Zofią Tyszkiewiczową, fot. Paulina Mongird, 1918-1919 r., © Kretinga Museum

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

System opieki nad dziećmi był ustalony. Do piątego roku życia zajmowała się nimi piastunka, pani Michałowska. Była wprawdzie mała, kulawa, nosiła czarną pelerynkę i czarny czepeczek, ale i tak wszyscy ją kochali, bo zastępowała matkę. Dzieci od piątego do dziewiątego roku życia przechodziły pod opiekę guwernantki Francuzki Mlle Fayard. Uczyły się głównie francuskiego i przedmiotów początkowych. Francuzka była niska, otyła, ale za to bardzo ruchliwa. Ubierała się zawsze w luźne kaftany z białym kołnierzykiem. Do rodziny była tak przywiązana, że gdy wysłano ją kiedyś do Paryża, szybko wróciła, twierdząc, że w Kretyndze jest jej dom. Dzieci kochała jak własne, mimo że była bardzo surowa. Niezwykle pedantyczna, w pokoju miała idealny porządek, nie można więc było od niej wyjść, nie odstawiając krzesła

na miejsce. Twierdziła, że najbardziej kocha Feliksa, bo gdy kiedyś się na niego rozgniewała i zaczęła krzyczeć, ten ze spokojem wziął butelkę z atramentem i w nią rzucił. Ma więc chłopiec charakter.

Po skończeniu dziewiątego roku życia, chłopcy jechali do szkół z internatem, a dziewczynki przechodziły pod opiekę panny Justyny Dmochowskiej. Ta była osobą niezwykle wykształconą, studia kończyła w Paryżu. Uczyła religii, historii, literatury, przyrody, geografii, języka polskiego i francuskiego oraz fizyki i logiki. Osobnym przedmiotem była nauka pisania listów. Pod okiem panny Dmochowskiej dziewczynki musiały na papierze sprawnie się wysławiać w co najmniej czterech językach. Nauczycielka nie była zbyt nowatorska w swoim systemie nauczania, uznawała metodę pamięciową za najwłaściwszą, niewiele tłumaczyła, kazała przyjmować „na wiarę", że tak jest. Zosi i Helence to bynajmniej nie przeszkadzało, ale Marysia, z zacięciem naukowym, często protestowała. Dlatego trzeba było sprowadzać dla niej z Połągi dodatkowych nauczycieli. Panna Dmochowska jedynie do nauki historii wprowadziła pomoce naukowe. Dużą tablicę, podzieloną na kwadraty, które przedstawiały jeden wiek. Tam wpisywało się najważniejsze wydarzenia dla każdego narodu. Dwie szable oznaczały wojnę, ściśnięte dłonie pokój, korona wstąpienie na tron itd. Dziewczynki miały przy tym dużo zabawy. Nauczycielka powinna nadzorować pracę innych guwernantek, ale jakoś jej to nie wychodziło, do niczego się nie wtrącała, nie było więc niepotrzebnych konfliktów.



Józef Tyszkiewicz z żoną Zofią z Horwattów, 1882-1885 r., fot. Otto van Bosch, © Kretinga Museum

Dla sprawnego opanowania nauki języka angielskiego sprowadzono rodowite Angielki Miss Hardy, Miss Hislop i Miss St. Clair. Dwie pierwsze nie były zbyt udane. Jedna ciągle moczyła nogi w ceberku, przez co nie można było wyjść z jej pokoju, druga miała uczyć jeszcze matematyki, ale jakoś jej to nie wychodziło. Dopiero Miss Clair stanęła na wysokości zadania. Ojciec jej był dyrektorem College'u, córki więc przechodziły kurs męskiej szkoły. Miss znała wyższą matematykę, algebrę i geometrię. Tylko że wszystkie rachunki u niej odbywały się w funtach sterlingach, szylingach i pensach. Wszystkie nauczycielki miały wysoką pensję, bo po pięćdziesiąt rubli miesięcznie. Czuły się jak w rodzinie, mogły zapraszać bliskich i przyjaciół na całe miesiące. A gdy przeszły na emeryturę pozostawały nadal na utrzymaniu.

Oprócz na stałe przebywających nauczycielek, wnoszących niewątpliwy koloryt do tego domu, w Kretyndze był zwykle jeszcze cały zastęp tzw. domowników. Należała do nich rodzona siostra hr Zofii ciotka, Grabowska, która większość swojego życia spędzała w pokoju z nieodłączną służącą Olesią. Nic nie chciała, nic jej do życia nie było potrzebne, czas zajmowała czytaniem i była chodzącą encyklopedią. Gdy któreś z dzieci czegoś nie wiedziało, biegło zaraz do ciotki Grabowskiej. Żona niezwykle przystojnego i urokliwego Karola Grabowskiego, po urodzeniu córki została sparaliżowana. Choroba nigdy jej nie minęła, po wydaniu więc córki za mąż zamieszkała z siostrą pozwalając tym samym mężowi na hulaszcze życie. Gdy wuj Karol, niezwykle rzadko wprawdzie, głównie w sezonie letnim, odwiedzał swoją ślubną małżonkę, ta z wysokości kanapy podawała mu jedynie dłoń do ucałowania, nie zamieniając z nim żadnego słowa. Hr Zofia, jako osoba niezwykle religijna, namawiała często siostrę do przyjmowania sakramentów świętych, ale ta twierdziła, że jest zagorzałą ateistką, bo gdyby Bóg istniał, to by jej życie wyglądało inaczej.

W Kretyndze było już dwoje chorych wymagających ciągłej opieki. Do domowników zaliczano więc i doktorów, na stałe zainstalowanych w pałacu. Pierwszym doktorem był Polak dr Sawicki, po nim nastał Kurlandczyk dr Boelendorf, a następnie po kolei dwóch Niemców dr Ortman i dr Krejtner. Ten ostatni, podobnie jak dr Ortman, żonę znalazł w Kretyndze. Była to wychowanica Tyszkiewiczów niezwykle piękna, ale o nieznośnym charakterze, Marylka. Kiedyś hr Józef dowiedział się, że dr spotyka się potajemnie z Marylką w jednej z grot Ogrodu Zimowego. Jako prawny opiekun dziewczyny, kazał się tam zawieść w odpowiednim momencie. No i coż mógł innego zrobić biedny doktor, pozostało mu tylko oświadczyć się. Za chwilę słabości musiał zapłacić całym życiem, bo Marylka od niego uciekła, zostawiła mu trójkę dzieci i dużo jeszcze miał przez nią problemów.



Ludwik Haiduk, muzyk na dworze w Kretyndze, fot. Mai és Társa, Budapeszt, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmułowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimę do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmułowicz był wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską i często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci, nauczyciele i inni, należeli do tzw. „pierwszego stołu”. Był jeszcze „drugi ” i „trzeci

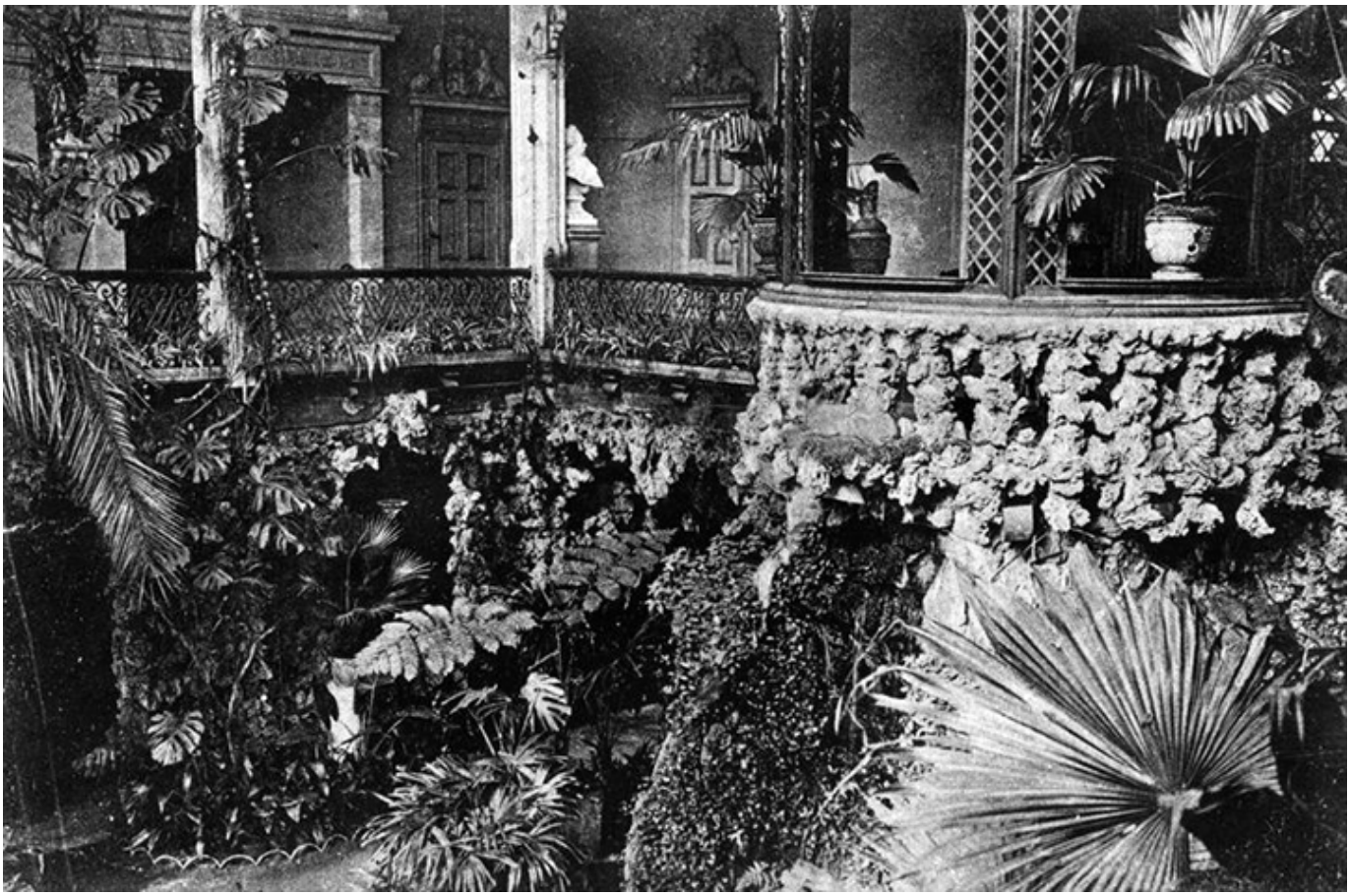
stół”.

Do „drugiego stołu” należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczkowa. Była ona szafarką kuchni, stołowni i spiżarni. Drugą wszechwładną osobą w bufecie była panna Petronela Pylińska. Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej mężatce w prowadzeniu domu. Taką osobą była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle usługiwała pannie służącej, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą była dla hr Zofii panna Pylińska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa.

Wyglądała na dostojną matronę, niezwykle schludna, zawsze starannie ubrana z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i żabotem, włosy uczesane z przedziałkiem, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wileńskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła „meszty” na pantofle, „kolonki”, na spinki do mankietów, „wasistas” na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek *niech cię kaczki podepczą*, czy *na pochyłe drzewo kozy skaczą*. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, *a po co to wszystko, nic z tego dobrego nie wyniknie, a po co pani hrabina tego tyle kupuje, po co tyle pieniędzy wydawać itd.* W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, żartowano, muzykowano na mandolinie.

Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących

w obrębie majątku.



Oranżeria w pałacu w Kretyndze, fot. Paulina Mongird, pocz. XX w., © Kretinga Museum

W Kretyndze pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i roztaczającej wspaniały zapach lawendy. Aleje usypane żołędziami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiołki i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków. Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon połągowski.

Tryb życia w kretyngowskim domu był raczej spokojny i uregulowany. Wszyscy wstawali o godz. 7.00. Dziewczynki musiały się umyć, ubrać uczesać przy pomocy panny służącej i przygotować do lekcji. Zimą mycie było kłopotliwe, bo pokój był słabo ogrzany. Tylko w niedzielę, gdy można było dłużej pozostać w łóżku, w pokoju robiło się już cieplej. Do mycia służył półokrągły miedziany basen na nóżkach z

kranikiem. Ranne śniadanie każdy jadł osobno, gospodarze u siebie w sypialni, dziewczynkom podawano zwykle na galerii zimowego ogrodu, czasem w małym pokoju obok, ze względu na możliwość skorzystania z pieca. Panienki mogły wtedy nakłuwać bułki na patyki i piec nad ogniem robiąc z nich chrupiące tosty. Do tego kawa, herbata i mleko do wyboru. Po krótkim śniadaniu wolno było przebiec szybko do drugiego domu odwiedzić ojca i zapytać się felczera jak minęła noc. Lekcje odbywały się 4 godziny do południa i dwie po południu. Zaczynały się o w pół do dziesiątej, według szwajcarskiego zegara z kukułką. Zawsze o w pół do drugiej podawano w Zimowym Ogrodzie obiad. Wtedy zbierali się wszyscy domownicy, hr Zofia była zawsze, hr Józef, gdy czuł się lepiej. Wtedy dzieci się cieszyły, bo ojciec pilnował, żeby nie jadły tego, czego nie lubią. Pamiętał, gdy jako mały chłopiec był zmuszany do jedzenia ryżu i do tej pory uważał, że to było nie potrzebne znęcanie się.

Po obiedzie wszyscy zasiadali w bocznej galerii na pluszowej kanapie przy marmurowym stole, podawano kawę lub herbatę. Wywiązywała się wtedy zwykle rozmowa o polityce, komentowano to, co donosiła prasa. Potem dziewczynki miały obowiązkowy spacer bez względu na pogodę, chyba że na dworzu była jakaś niezwykła burza z piorunami. Na spacer chodzono głównie do miasteczka, po jakieś drobne zakupy, np. cukierki, których dzieci nie miały na co dzień, więc czasem przeznaczały na słodycze swoje kieszonkowe. Różne słodkie smakołyki były na stołach wręcz w nadmiarze, ale tylko w okresie świąt. Podczas roku szkolnego uważano, że małe ciasteczko, ogólnie podawane do poobiedniej kawy w zupełności powinno wystarczyć. Dzieci nie mogły grymasić, nie wolno było im się skarżyć, że czegoś im brakuje, a w razie pilnej zachcianki, miały swoje kieszonkowe, w nieprzekraczalnej, zawsze takiej samej kwocie. Czasami spacery kończyły się aż na folwarku, gdzie dochodziło się szeroką aleją. Jakaż to wtedy była atrakcja wejść do obory i dostać mleko prosto od krowy. Po spacerze znów odbywały się lekcje przed i po podwieczorku, który o godzinie 17.00 zwykle by celebrowany owocami wyhodowanymi przez pana Hejduka. O godz. 20.00 znów wszyscy schodzili się do jadalni na kolację. Potem każdy robił co chciał, często zimowe wieczory kończyły się koncertem, lub głośnym czytaniem polskiej literatury i angielskich powieści. Francuskich utwór nie wolno było dzieciom czytać, natomiast angielskie bez żadnej kontroli, czy ograniczeń. Dzieci o godzinie 21.00 szły spać, dorośli jeszcze często

długo gawędzili przy świetle łukowych lamp i szumie zimowej kaskady.



Fragment ekspozycji Muzeum Historii Lokalnej Kretyngi, fotograf nieznany, koniec lat 70. XX w., © Kretinga Museum



Fragment ekspozycji Muzeum Historii Lokalnej Kretyngi, fotograf nieznany, koniec lat 70. XX w., © Kretinga Museum

Ten uregulowany, kretyngowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pięciu dorastających młodzieńców wprowadzało ogromny ruch i ożywienie, opowiadając o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i chorobą męża poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkową słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne *l'argent de garde.* Wszyscy się do tego

stosowali, tylko nie Władzio, który był takim estetą, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nigdy nie umiał sobie poradzić z umiarem w wydatkach. Władzio był przy tym czuły i troskliwy. Jako jedyny z synów potrafił okazać matce swoje przywiązanie. O wszystkim jej mówił, pisywał do niej codziennie. Najstarszy Oleś okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieloności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci, przewidzieć, co im najbardziej potrzeba i z czego się ucieszą i przygotować prezenty. Choinkę ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na końcu owijana od góry do dołu cieniutkimi, złotymi nićmi, tworzącymi mieniącą się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczyście. Na kolację wigilijną, tzw. „kucję" zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich, całe towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego klasztoru. Poziom wykształcenia i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucję" od modlitwy i dzielenia się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzynkami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców.

Młodzi Tyszkiewiczowie sadzani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr Józef bacznie im się przyglądał jak radzą sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretyngi, żeby zdążyc na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyślenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów zaspał musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania.

Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolęd przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodzili do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.



Helena Klotylda z Tyszkiewiczów Ostrowska na koniu (z prawej) przed pałacem w Korczewie, fotograf nieznany, © Kretinga Museum

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretyngę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli księstwo Ogińscy z Płungian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo kareta zaprzężona w czwórkę koni, ze strzelcem na koźle obwieszczającym, że książę pan jedzie. Po czym wysiadał książę Michał, mały, czarny, z długim, podkręconym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny ekwipaż, którym w odwiedziny przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne pędziła życie w ogromnym pałacu w Płungianach, sama, bez dzieci, odwiedziny w sąsiedztwie zwykle więc celebrowała. U Ogińskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapełniał się gośćmi, ruchem i gwarem. Co jednak te orkiestry robiły cały rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy krążyły po

okolicy o starej księżnej Ogińskiej, z domu Kalinowskiej. Podobno była niegdyś nałożnicą cara i stąd jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed ślubem syna Michała miała swój własny, wygodny apartament w Płungianach. Kiedyś przyjechała odwiedzić młodą parę po ślubie, dowiedziała się od służby, że podczas jej nieobecności ktoś nocował w jej apartamencie i tak się zdenerwowała, że kazała wszystkie meble oraz to co się dało, zerwać ze ścian wynieść na dziedziniec i publicznie spalić, po czym nigdy już do syna nie przyjechała.

Goście typu księżna i książę Ogińscy wprowadzali bardzo ceremonialną atmosferę. Myślano tylko o tym co wypada, a co nie, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Dzieci nie zawsze jednak stosowały się do etykiety. Raz podczas takich bożonarodzeniowych odwiedzin młodzież wymyśliła zabawę. Czerpiąc wodę z malowniczo położonych szemrzących strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczęła oblewać sikawkami gości siedzących na galeriach i sztywno prowadzących dysputę, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goście żądni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybił trafił. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo się rozruszało i wesoło już było do wieczora.

W okresie świąt nie lada rozrywką były zabawy teatralne, mające typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano żywe obrazy, z całym pietyzmem do ról się przygotowując. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy, gospodarze, goście i służba. Bale kostiumowe też były pożądane, jako jedna z rozrywek. Kiedyś, ku zdumieniu wszystkich, wbiegł, a raczej wskoczył wielkimi susami, gość z sąsiedztwa Stanisław Gawroński, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i długimi wąsami. Podobno służący obszywał go całą noc skórkami króliczymi, aż zaszył go całkowicie zostawiając tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybiła 12.00, wszyscy szli do kościoła na modlitwę, potem kierowali się do gabinetu ojca, gdzie czekały już poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisaną nową datą.



Rodzina Tyszkiewiczów, Kretynga, fot. Benedykt Henryk Tyszkiewicz, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Na Wielkanoc mniej gości przyjeżdżało z daleka. Stół wielkanocny szykowano ogromny. Wszyscy oficjaliści dworscy i inteligencja z miasteczka przychodziła składać życzenia, zapraszani więc byli do stołu. Licznie do kretyngowskiego domu przybywali urzędnicy rosyjscy oraz wojskowi z popem na czele. Wprawdzie niechętnie ich się widziało, bo taki widok raził uczucia patriotyczne, ale wrodzona polska gościnność nakazywała, by ich też zaprosić na świąteczny poczęstunek. Hr Zofia nie mówiła po rosyjsku, więc uprzejmie się uśmiechała, kiwała głową i dawała znaki domownikom, by gościom napełniali talerze. Dopiero, gdy wszyscy byli obsłużeni, wolno było gospodarzom i młodzieży nałożyć sobie. „Święcone" trwało dwa tygodnie. Przez pierwsza dwa dni świąt nie podawano na gorąco rosołu, potem można już było jeść wszystko. Szynki, pieczeń cielęca, głowizna, młode prosiaki, drób, ryby w galarecie, rosyjskie paschy, wspaniałe do tego sosy w wielkim wyborze. Największą atrakcją były jednak ciasta. Olbrzymi „baumkuchen" miał metr wysokości. Do tego dwanaście ogromnych mazurków, pomarańczowy, kawowy, czekoladowy, daktylowy, migdałowy, bakaliowy, królewski itd. Ponieważ kucharze w

Kretyndze głównie pochodzili z kresów, więc wyspecjalizowani byli w świątecznych babkach. Na stole musiało być co najmniej dziesięć gatunków: chlebowa, petynetowa, kawowa, szafranowa… Kucharze coraz to donosili świeże potrawy, uzupełniali znikające. Przez pierwszych kilka dni jedzenie może i było atrakcją, bo takiej obfitości różnych specjałów na codzień nie jadano, ale po dwóch tygodniach to i najbardziej wykwintna potrawa, podana w nadmiarze mogła się przejeść.

Po świętach w maju odprawiane zawsze było Nabożeństwo Majowe. Ustawiano wtedy koło groty Zimowego Ogrodu, figurę naturalnej wielkości Matki Boskiej z Lourdes. Figura przewieziona była potajemnie przez granicę, ubrana w duży kapelusz i pelerynę. Ołtarz ubierany wiosennymi kwiatami, najpierw anemony, potem czeremchy, konwalie i bzy. Wieczorem wszyscy domownicy, przy oświetlonym, pachnącym ołtarzu śpiewali „Zdrowaś Maryja” i „Serdeczna Matko”.



Zofia z Horwattów Tyszkiewiczowa, fot. G. Felici, pocz. XX w., © Kretinga Museum

Dzieci wychowywane były w dość dużej swobodzie, nie zakazywano im różnych inicjatyw, a wręcz doradzano i pomagano. Dziewczynki wpadły kiedyś na pomysł, żeby zaopiekować się sierotami z Kretyngi. Każda z trzech sióstr wzięła pod opiekę jedno dziecko. Ponieważ koło Klasztoru Bernardynów mieszkało mnóstwo tzw. „dewotek", które nic innego nie miały do roboty jak chodzić na codzienne roraty i odprawiać godzinki. Może więc na coś się jeszcze przydadzą. Za odpowiednią opłatą umieszczono u tych bogobojnych kobiet sieroty. Panny Tyszkiewiczówny kupiły w miasteczku tkaniny i dały pałacowej krawcowej, żeby ta uszyła odpowiednie ubrania. Lekcji same udzielały. Oczywiście wszystkie koszta ponosiły ze swojego kieszonkowego. Hr Zofia, gdy się o tym dowiedziała bardzo była zadowolona. Mniej za to jej się spodobał następny pomysł, a mianowicie loteria fantowa., która miała

zasilić kasę „fundacji dobroczynnej”. Przez cały rok zbierano fanty, od kogo się dało. Latem w Połądze miała być urządzona loteria dla gości, z biletami po dwa ruble, każdym wygrywającym. Kiedy matka dowiedziała się sie o tym przedsięwzięciu, postawiła ostre veto. *Nie wypada posługując się swoim nazwiskiem korzystać z uprzejmości letników* – powiedziała i sama wykupiła wszystkie fanty.

Inną inicjatywą i to przeprowadzoną przy dużej pomocy rodziców, było utworzenie w Kretyndze szpitalika. Przeznaczono na ten cel Starą Szwajcarkę w ogrodzie, ustawiono łóżka, wynajęto osobę do pilnowania, a lekarz domowy, będący przecież na etacie w pałacu i tak nie był przez cały dzień zajęty, żeby nie mógł doglądać chorych. Dziewczynki kontrolowały wydatki i odwiedzały tych, których nie stać było na leczenie poza Kretyngą.

No, ale już chyba największym przedsięwzięciem, mającym zasilić kasę dobroczynną, była budowa domu w Połądze, z przeznaczeniem na wynajem lub sprzedaż. W tej kwestii młodym pannom radą i pomocą służył brat Władzio, który był jednym z pomysłodawców, a poza tym jako esteta już od urodzenia, służył za jedyny autorytet w kwestii urządzenia, doboru mebli czy tkanin. Wyszukano odpowiednie miejsce, koło lasu, niedaleko morza. Plac od rodziców dostali darmo i z wielkim entuzjazmem zaczęli budowę, na kredyt oczywiście. Willa miała mieć sześć pokoi, kuchnię, piwnicę oraz balkon. Na początku wydawało się, że powstaje domek dla lalek, a nie dla ludzi, ale po skończeniu prac wyszedł całkiem ładny. Władzio oczywiście z wielkim gustem i w dobrym stylu dom urządził, a pan Hejduk zadbał, by na piaszczystej ziemi, wokół willi coś wyrosło. Znalazła się też lokatorka, baronowa Ungernstenborg z córką i synem, która najpierw dom wynajęła, a potem kupiła za pokaźną sumę. Zaciągnięty kredyt był więc szybko spłacony, a do zysku dołożył się Władzio z podobną kwotą i pieniądze te przeznaczono na założenie Pogotowia Ratunkowego w Wilnie.

Lecz najbardziej oczekiwanym okresem w roku były wakacje i wyjazdy nad morze na cały sezon do Połągi.

Dalszy ciąg nastapi – Połaga

Źródła:

Zapiski Zofii z Tyszkiewiczów Potockiej, Biblioteka Narodowa w Warszawie.

Materiały archiwalne w Archiwum Miejskim w Wilnie.

Pamietnik Heleny z Tyszkiewiczów Ostrowskiej, kopia rękopisu ze zbiorów Hanny i Adama Tyszkiewiczów.

Wywiad z rządcą Tyszkiewiczów z Landwarowa (zapis na taśmie magnetofonowej, pochodzący z lat 80. XX w.).

GALERIA



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndzie, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, strop, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, obecnie muzeum, fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, wnętrze pałacu, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, obecnie muzeum, fot. Wrzesław Żurawski

Zdjęcia pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze autorstwa Wrzesława Żurawskiego zostały wykonane we wrześniu 2018 roku.

Zobacz też:

Landwarów

Tyszkiewiczowie. Landwarów.

Kretynga, część 1

Tyszkiewiczowie. Kretynga 1.